

Polska i więzienie

10 maja 2009

To już chyba koniec polskiej polityki. Jej pociąg zatrzymał się na przystanku „Dominacja Platformy”.

Oczywiście sondaże wskazujące, że partię Tuska popiera ponad 50% wyborców, mogą być nieco przeszacowane. Nie warto jednak przesadnie na to liczyć. Minęły czasy, kiedy agencje sondażowe – i media zamawiające ich usługi – pomagając liberałom, jak tylko mogły, czyniły to, w dodatku nieskutecznie. Już w ostatnich wyborach parlamentarnych, korzystne dla PO badania opinii się potwierdziły. Również europosłów zapewne wybierzemy tak, jak nasze elity opiniotwórcze sobie tego życzą.

A gdyby nawet PiS zdobył więcej niż 30% lub SLD odbudował część swojego zaplecza, wdrapując się w okolice wskaźnika piętnastoprocentowego? Niczego to nie zmieni. Niezły wynik, jaki któreś ze skrzydeł opozycji osiągnęłoby w zbliżających się wyborach – również tych bardziej znaczących niż do „Euro-Sejmu” – mógłby przynieść tylko przemeblowanie rządu Platformy. W takim wypadku, prawica troszcząca się o moralność otrzymałaby resort sprawiedliwości albo edukacji. Tam delegowany przez nią polityk tępiłby przestępczość dorosłych bądź szkolne chuligaństwo, wprowadzając zasadę „zero tolerancji”. A ponieważ i on sam, i mało kto z jego partyjnych kolegów – a tym bardziej liberalnych koalicjantów – nie zastanawiałby się, z jakich społecznych źródeł biorą się wspomniane plagi, to walka z nimi nie przyniosłaby nadzwyczajnych efektów.

Spójrzmy prawdzie w oczy: lewa strona polskiej sceny politycznej już umarła, zaś jej konkurencja z prawa zagląda do czekającego na nią grobu. Dla jednej i drugiej, dojście do władzy stało się Rimbaudowską „chwilą”, która, „kiedy uleci, będzie godziną śmierci”. Przyznać wypada, że medialni reżyserzy doskonale obmyślili scenariusze zniszczenia

nie lubianych przez nich skrajności. SLD wykończono kampanią antykorupcyjną, która jego czołowce na trwałe przykleiła wizerunek „złodziei”. Natomiast obozowi prawicowemu pod wodzą braci-bliźniaków przyklejono etykietkę zaścianka, który ośmiesza nas w oczach Europy.

A gdyby Leszek Miller albo Jarosław Kaczyński lepiej i mądrzej zarządzili? Nie zaszkodziłoby – marząc odważnie – żeby w odpowiednim czasie na ich miejscu znaleźli się liderzy jakościowo wyższej klasy. A to już szczyty optymistycznych wyobrażeń: lewicy po roku 1989 nie tworzyli postkomunistyczni biznesmeni. Na drugim biegunie, znacznej redukcji uległy organizacyjne i mentalne wpływy kombatanów polskiego frontu zimnej wojny. Tak przeobrażona formacja lewicowa nie skupiłaby się na ochronie układu siłwiarskich powiązań. Prawica z kolei nie uważałaby walki z tym układem za klucz do zbawienia kraju, a zarazem sens swojego istnienia.

Czy to by coś dało? Myślmy sobie do woli, jak powinny wyglądać optymalne programy socjaldemokratyczne bądź rewolucyjne, konserwatywne bądź chadeckie. Pójście do ludzi z ich pracowicie udoskonalanymi formułami byłoby tak czy owak skazane na klęskę. Obawiam się, że liberalizm, przed którym chcemy zbawiać polską zbiorowość, jest właśnie tym, czego ona pragnie.

Na krótko przed świeckim ingresem Donalda Tuska, zdarzyło mi się podyskutować z liberalnym akademikiem, który był z siebie bardzo dumny. PiS-owski reżim – pochwalił się – kazał mu złożyć oświadczenie lustracyjne, lecz on, ryzykując zakaz pracy w zawodzie, zignorował te bezprawne naciski. Od biedy zrozumiałbym pryncypialnego wroga lustracji – szczególnie w jej formule ustawowej, którą upichciła koalicja PiS-u i „przystawek”. Lecz mój rozmówca z ofiary prawicowych fundamentalistów przepoczwarzył się wkrótce w agitatora liberalnej Platformy. – „Żyje się po to – deklamował – żeby zarabiać pieniądze, a państwo ma w tym nie przeszkadzać”. Koniec, kropka. A jak coś mi się tutaj nie spodoba, to on,

swoim zwyczajem, osobiście zaprotestuje.

Temu wykształconemu człowiekowi – łatwo się domyślić – zrobiono wodę z mózgu, posługując się dziełami i dziełkami Poppera, Hayeka, Kołakowskiego i Tischnera. Niestety, identycznie jak on myślą nasi rodacy, którzy pod względem intelektualnym i zawodowym okazaliby się dużo bardziej typowi. Im polemiki na temat idei i wartości nie wpadają do ręki. Nie przeszkadza im to chłonać liberalnego wyznania wiary ze świeżo zakupionej instalacji kina domowego, której używają głównie do oglądania TVN.

Nietrudno zdobywać się w stosunku do nich na współczucie. Przecież są manipulowani. Na rozwiązaniach gospodarczych w rodzaju obniżki podatków, które popierają, częstokroć sami tracą. Mimo wszystko, gotowi są zaprzęgać się do kieratu, który zadaje im dotkliwe kontuzje. Gdy władza oszukuje, zagarniając dobra dla siebie, lud – do diabła – powinien jej stawiać opór.

Otóż właśnie potencjału oporu nie ma w polskim społeczeństwie ani na lekarstwo. Niedługo słuchacze Radia Maryja pójdą śladem czytelników tygodnika „Nie”, którzy w innym, lepszym świecie słuchają już na żywo przemówienia towarzysza Edwarda. Wtedy zostaną już tylko tabloidy dla odbiorców z normalnymi wymaganiami oraz TVN24 dla ambitnych.

Skoro kiedyś lud zrywał się do walki, to może się jeszcze odrodzi? Tak nostalgiczne nastroje, jak utopijne nadzieje, wydają się źle zaadresowane. Beznadziejność stanu aktualnego wywiera fatalny wpływ na obraz przeszłości, psując go i odbarwiając. Zgodnie z jej sugestiami, musimy sobie uzmysłwić, że polskie powstania organizowała znikoma mniejszość. Resztę narodu, która ilościowo zdecydowanie w nim przeważała, niewiele one obchodziły. Przenosząc się trochę w czasie: ludowe protesty w PRL podejrzenie dobrze pasowały do mechanizmu wymiany ekipy rządzącej, który był właściwy ówczesnej praktyce politycznej. Na zrywie sierpniowym zależało

nie tylko rwącej się do zemsty na Gierku partyjnej frakcji Moczara i Kani, ale też – najprawdopodobniej – obydwu supermocarstwom.

Codziennosc międzywojennej Polski niepodległej była „radością z odzyskanego śmietnika”, którą obnażają klasyczne powieści Kadena-Bandrowskiego, Nałkowskiej i Tadeusza Brezy. Bez specjalnego wysiłku, odnajduje się tam znajome kształty Platformy, która dzisiaj zwycięsko pędzi polskim torem. Może więc oprócz niej – przypominając sobie Miłosza – „nigdy nic nie było, prócz buntu kilku godnych pogardy jednostek”.

W typowej polskiej wsi – jak również małomiasteczkowej czy wreszcie stołecznej dzielnicy – bogate gospodarstwa obrastały w dobra kosztem uboższego otoczenia. Poszkodowani liczyli, że uda im się wspiąć wyżej lub pożywić odpadkami z pańskiego stołu. Pragnienie zbiorowego działania na rzecz istotnej zmiany rzadko kiedy się tam ożywiało.

Myli się jednak odwrócony mesjanizm, według którego Polska jest uprzykrzoną prowincją szczęśliwszego od niej świata. U nas wszyscy muszą się zachwycać jakimś zagranicznym rajem. Jedni szukali go w antykomunistycznych krajach bałtyckich (dopóki światowy kryzys nie zagroził im bankructwem), inni – w socjalnej Europie Zachodniej. A może różnice, które tu i ówdzie zaznaczają się jeszcze między różnymi regionami – to tylko słabiutkie przeszkody, które lada chwila zmiecie globalna, tym razem, platforma liberalizmu?

Kiedy Hamlet narzeka, iż Dania jest więzieniem, Rosenkranz i Gildenstern – jego fałszywi przyjaciele, którym dwór królewski zlecił dyskretnie go szpiegować – odpowiadają, że wcale tak nie myślą. To oni stanowią opinię publiczną, która będzie rozstrzygać kolejne wybory. I co z tego, jeśli naprawdę „to jest więzienie”?

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)